

# Grochulska, Barbara

---

## O sztuce krytyki. Stefan Kieniewicz - recenzent

---

Przegląd Historyczny 84/1, 39-46

---

1993

Artykuł umieszczony jest w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych, tworzonej przez Muzeum Historii Polski w Warszawie w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego.

Artykuł został opracowany do udostępnienia w Internecie dzięki wsparciu Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego w ramach dofinansowania działalności upowszechniającej naukę.

## O sztuce krytyki. Stefan Kieniewicz — recenzent

Integralną częścią dzieła, jakie pozostawił po sobie Stefan Kieniewicz, jest krytyka historyczna zapisana w recenzjach. Napisał ich wiele, publikując systematycznie po kilka rocznie, niezależnie od natężenia pracy twórczej na głównym froncie swoich robót.

Przedmiot i sposób uprawianej przez niego krytyki przekonuje o tym, jak niezbędnym elementem warsztatu naukowego jest recenzja. W odniesieniu do twórczości Profesora Kieniewicza konstatacja ta ma szczególną wartość: po pierwsze dlatego, że jego warsztat, mający cechy wyjątkowej precyzji, zaleca się jako przedmiot badania, a po wtóre dlatego, że Profesor nie pozostawił po sobie żadnego „testamentu” metodologicznego, wobec tego każdy trop jego pracy — a są nim recenzje — przedstawia tym większą wartość.

Istotnie, w dyskusjach metodologicznych Profesor zabierał głos niechętnie. Jeśli mówił czy pisał o warsztacie historyka, czynił to językiem prostych wskazań, dojmująco prawdziwym. Każdy, kto parał się kiedykolwiek pracą badawczą, odnajdzie w jego słowach rezonans własnych problemów. Dla historyka sens takich wypowiedzi zawiera się w ostrzeżeniu, dającym się odczytać z Jego wskazań, że nikt, kto wybrał los badacza przeszłości jako swoją pracę czy powołanie, sianem się z tego nie wykręci; kto przestał systematycznie powiększać swój zasób wiedzy empirycznej, źródłowej, musi prędzej czy później uznać się za „byłego historyka”. Nie pomoże mu ani talent ani metodologia. W odniesieniu do historii nowożytnej chodziło przede wszystkim o pracę na źródłach archiwalnych.

„Szybko wyczerpie się największy erudyta — pisał — jeśli zaniedba pobytów w archiwum — — Zdolności potrzebne historykowi — pamięć, łatwość do języków, intuicja, dar kombinowania zdarzeń — nie wystarczą” („Mówią Wieki”, nr 2, 1958).

Fragmencem zasobu wiedzy empirycznej jest literatura przedmiotu, a siem przez które cedzi jej zawartość są recenzje. Do recenzji Profesor przywiązywał ogromną wagę. Uczniów stale napominał, żeby pisać recenzje. Krytyka — to pierwsze narzędzie historycznego rzemiosła. Bez intencji recenzowania książki nie ma prawdziwego jej czytania, to jest takiego, które dałoby w rezultacie całkowite przyswojenie materiału; bez recenzji nie ma możliwości skutecznej samokontroli, a więc określenia własnej pozycji wobec osiągnięć innych specjalistów i wobec rozwoju dyscypliny.

W zgodzie z tym pozostawała postawa Profesora. Był „zawsze gotowym” recenzentem. Każde wydarzenie z życia naukowego wywoływało u Niego syntetyczną refleksję, która miała nie tylko strukturę recenzji, ale zawierała wszystkie jej elementy: ogarnięcie całości materiału, wyważenie jego wartości, wskazanie konkretnych wad i zalet, wreszcie — sformułowanie opinii.

Od tej trudnej formuły wypowiedzi nie bywało na ogół odstępstw. Był jej wierny nawet w przemówieniach okolicznościowych, nawet tak konwencjonalnych jak jubileuszowe. W takich okazjach, z powodzi słów, mniej czy więcej udanych, wybijał się

zawsze głos Stefana Kieniewicza, stanowiący kunsztowną recenzję dorobku jubilata. Profesor potrafił wypowiedzieć się w ten sposób nie tylko w przemówieniach laudacyjnych, ale w krótkich gratulacyjnych listach. Przy tym — mimo konwencji pochwały, jaka obowiązuje uroczystości jubileuszowe — potrafił zmieścić, o ile było trzeba, również akcenty krytyczne. Zabawnie było obserwować Profesora w takich razach. Ci, którzy Go dobrze znali, wiedzieli, kiedy przychodzi moment niezręczny, moment, w którym trzeba powiedzieć o jubilate — gwoli prawdy — także coś mniej przyjemnego. Miewał wtedy wyraz trochę zażenowany i zmieniał ton na żartobliwy.

My, uczniowie, stykaliśmy się z tym na codzień. Byliśmy recenzowani z okazji każdego roboczego z Nim spotkania. Dlatego były one zawsze tak ważne i emocjonujące.

Moje wspomnienia dotyczą przede wszystkim seminarium doktorskiego Profesora. Bywało liczne, a jak to jest często na licznych seminariach — prezentowało poziom zróżnicowany. Wystąpienia doktorantów słuchał Profesor z ogromnym skupieniem, niezależnie od stopnia ich doskonałości nie pozwalając sobie na żadne odruchy dezaprobaty. Czasem krótko notował, częściej kreślił na kartce papieru (zawsze takiego samego rozmiaru) małe figury geometryczne. Dyskusję animował żartem, uśmiechem, anegdotami historycznymi, których niezliczone ilości miał pod ręką i które starczyły za potwierdzenie lub odrzucenie czyjegoś dowodzenia. Wreszcie zabierał głos sam. Wtedy zaczynała się najciekawsza część seminarium. Czasem wypowiedź trwała 5 minut, a bywało, że i pół godziny. Ale zawsze była to całościowa ocena w porządku i formule rozwiniętej recenzji. Jedną z takich improwizacji pamiętam dokładnie. Było to po wystąpieniu, które Profesora poruszyło. Referentka ukazała w nim ogromną wiedzę, imponującą pracowitość i godną podziwu żarliwość, ale przy tym — bezradność wobec materiału, nad którym nie umiała zapanować. Po dyskusji, równie bezradnej, Profesor się uśmiechnął: „Trzeba by tu zrobić trochę porządku, jak mawiał marszałek Foch” — zaczął. Usłyszeliśmy wtedy wykład porywający. Na naszych oczach powstała konstrukcja dzieła: od krytyki i selekcji zgromadzonego materiału, poprzez interpretację, aż po jej zwieńczenie — dalekosiężną perspektywę wnioskowania.

Po takich wystąpieniach Profesora wychodziło się z głową pełną pomysłów na rozwiązanie własnych trudności i przeświadczeniem, że jakiś etap się dzisiaj pokonało.

Urokiem improwizowanych wykładów recenzyjnych Profesora było i to, że nie przetrzągał w nich tej bardzo surowej dyscypliny słowa, jaką sobie narzucał w wykładach programowych. Częściej sięgał do anegdoty historycznej, czerpanej nierzadko z rodzinnej tradycji. Pamiętam opowieść o trudach życia towarzyskiego sfer najwyższych, wywołaną stwierdzeniem jednego z doktorantów; referent mówił o pobycie Adama Czartoryskiego w Petersburgu i opatrzył ten epizod konstatacją, że młody książę większość swego czasu spędzał na zabawie jeżdząc z balu na bal. „I pan to nazywa zabawą! — zawołał Profesor — Czy pan wie ile się trzeba było napracować na tych balach?” Usłyszeliśmy wtedy wykład o sztuce uprawiania salonowej dyplomacji, znaczeniu słów i gestów, o prawidłach działania nieformalnego protokołu towarzyskiego. Był to jeden z Jego sposobów sprowadzania sprawy do właściwych rozmiarów: weryfikacja w zetknięciu z prawdziwym szczegółem.

W jednej z recenzji w ten sposób „sprowadził do parteru” entuzjazm jednego autora z racji ochotników francuskich zgłaszających się w 1848 r. do Komitetu Emigracji Polskiej: „O ochotnikach francuskich zgłaszających się do walki o Polskę — przyjemnie nam dziś słuchać. Lecz mówiąc o tych sprawach nie trzeba tracić z oczu i okoliczności materialnych: szerzącego się we Francji bezrobocia. Ten i ów Francuz zgłaszał się do polskiego Komitetu w nadziei zabezpieczenia tą drogą utrzymania dla swej rodziny”.

Innym sposobem bywało znaczenie zbyt klarownego — czy zbyt patetycznego obrazu — odrobiną kpiny. Tak np. w dyskusji o oporze patriotycznych środowisk ziemiańskich na kresach wobec polityki rusyfikacji opowiedział nam o pewnej sędziwej damie, która — spełniając patriotyczny obowiązek bojkotu miejscowego księdza (uległ

naciskom władz i „odprawiał” po rosyjsku) — raz w roku koło Wielkiejnocy jeździła spowiadać się... do Paryża.

Rygorystyczna formuła wypowiedziana się powodowała, że równie rygorystycznie przestrzegał zasady nie zabierania głosu w sprawach, w których nie był pewien swojego rozeznania. Pod tym względem sprawiałam Mu wiele kłopotów, dręcząc w swoich sprawozdaniach nadmiarem statystyki. Z liczb Profesor potrafił korzystać, miał dla liczb wielki respekt. Tabele traktował jednak z niechęcią, chociaż z szacunkiem. Można by zastosować tutaj Jego rozróżnienie między biogramami faktograficznymi a esseistycznymi, jakiego używał w recenzji z zeszytu Polskiego Słownika Biograficznego: „Cenimy sobie artykuły pierwszej kategorii, ale smakujemy w tych drugich”. W tabelach statystycznych na pewno nie smakował<sup>1</sup>. Kiedyś w trakcie czytania fragmentu mojej pracy doktorskiej, napisał uwagę pod jedną z moich tablic: „Pewnie jest tu wszystko dobrze, ale niech pani się jeszcze poradzi [Juliusza] Łukasiewicza”.

Lęk przed niekompetentnym wypowiedzianiem się dotyczył zwłaszcza wydarzeń życia publicznego. Pamiętam w związku z tym przeżycie, które szczególnie mnie poruszyło. W sierpniu 1980 r. poproszono mnie, bym poszła do Profesora z zapytaniem, czy zechce podpisać list intelektualistów z poparciem dla strajkujących stoczniowców gdańskich. Zaskoczyłam Go, przychodząc do domu bez żadnego uprzedzenia. Poprosił, żebym usiadła, przeczytał treść, dopytał nieco o okoliczności, chwilę zbierał myśli i zaczął mówić. Rozważał aktualną sytuację, przymierzał do niej sąd historyka, mierzył doświadczeniem przeszłości; rozumiał decyzje wystosowania apelu bardziej w kategoriach romantyzmu niż realizmu politycznego; powiedział w końcu trochę bezradnie: „Wszystkiego tego uczyliśmy się...” i list podpisał. W miesiąc później, w końcu września poprosił o spotkanie ze mną; okazało się, że po to tylko, żeby mi podziękować za sierpniową propozycję. „Być może — powiedział — gdyby pani wtedy do mnie nie przyszła, zostałbym poza tą sprawą. A tego bardzo bym nie chciał”. Podziękowanie Profesora zdumiało mnie i zawstydziło. Po pierwsze dlatego, że nie zdarzyło mi się spotkać kogoś, kto — jeśli przyjdzie zwycięstwo — nie poczułby się suwerennym jego autorem, powtóre — dlatego, że zdałam sobie wtedy sprawę, iż ja sama nie podziękowałam tym, których protekcji z wdzięczałam swoje nazwisko na liście podpisów. Lekcja była dotkliwa, choć niezamierzona.

Wielokrotnie później bywało, że z pozornego nierozumienia aktualnej sytuacji politycznej, o czym często mówił, wyłaniała się naraz ocena zaskakująco przenikliwa. Okazywało się wtedy, że widział sprawy jaśniej niż koncesjonowani politycy.

Postawę gotowości recenzyjnej ułatwiał Profesorowi nawyk myślenia w kategoriach bilansu. Trudno orzec w jakiej mierze wyphywał z wrodzonej inklinacji, w jakiejś zaś był wynikiem metodycznego treningu. W każdym razie Profesor wskazywał na potrzebę czynienia tego na codzień, traktując to jako zabieg warsztatowy: „Pomnażając kolekcję notat warto już w toku poszukiwań kierować myśl ku przyszłej syntezie, sporządzając co wieczór w pamięci bilans osiągnięć dnia”.

Postulęstwa wobec zasady myślenia w kategoriach dwustronnego bilansu wydarzeń — jakiego wymiaru by one nie były — przestrzegał surowo, opierając się próbom wszelkiej mitologizacji. Przykładem nieustępliwości w tej mierze jest Jego przedmowa do pamiętników ojca, Antoniego Kieniewicza. Nie cofnął się i tutaj przed sporządzeniem gorzkiego bilansu: tak totalnej i — w ujęciu ojca niezawinionej katastrofie rodziny przeciwstawił racje strony przeciwnej. Pozwolę sobie przytoczyć ten fragment w całości:

„Ze zrozumiałą, po ludzku rzecz biorąc, goryczą wypowiada się Ojciec o pogromie rodzinnego domu. Zdemolowali go i rozgrabili, tuż po wyjeździe właścicieli, mieszkańcy

<sup>1</sup> Ale w redagowanych przez siebie maszynopisach artykułów do „Przeglądu Historycznego” zawsze sprawdzał zgodność liczb w kolumnach (przyp. Redakcji).

najbliższej wsi Hołubicy, wsi, która żyła od kilku pokoleń w szczególnej symbiozie z dworem, czerpała z niego dodatkowe zarobki, korzystała z różnych form świadczonej przez dwór opieki. Okazało się, że ta życzliwość dworu, okazywana wsi, nie była w stanie przełamać głębokiej obojętności pomiędzy dwoma niepodobnymi do siebie światami. Tam prymitywnie żyjąca, prymitywnie gospodarująca wieś. Tu oaza europejskiej kultury, łatwo dostrzegalnego bogactwa, dziesiątki tysięcy hektarów pod dozorem licznej straży leśnej, kwestionującej chłopskie serwituty, osłaniającej pańskie dobro przed wyrębem i kłusownictwem. Czy dziwne jest, że w owej chłopskiej masie znalazło oddźwięk hasło 1917 roku: *Grab nagrabennoje?* A skoro już lud poleski sięgnął po pańską ziemię i las, i pański dobytek, targnął się jednym tchem i na pańską rezydencję, tak aby pomieszczyk nie miał już do czego wracać. W jakiejś mierze zaważyła tu i obojętność cywilizacyjna, różnica języka i wyznania, lecz nie to chyba decydowało. Bardzo podobna w stylu rabacja galicyjska 1846 roku rozegrała się przecie w rdzennie polskim i katolickim kraju. Wówczas w Galicji przywrócił porządek rząd zaborczy. Na białoruskich i ukraińskich Kresach ziemiaństwo polskie utraciło grunt pod nogami z chwilą, kiedy nie stało (znieawidzonego przecie) caratu...

Nie miejsce tu na głębiej wyważoną ocenę osiągnięć i dorobku polskiego ziemiaństwa na Kresach; ani też na wymierzenie stopnia eksploatacji ludności miejscowej: do niedawna jeszcze poddanej, do ostatnich dni uzależnionej gospodarczo od dworu. Chłodna refleksja historyka stosunków społecznych obruszy zarówno tradycyjnego wielbiciela *temporis acti*, jak i trwałego rzecznika nieubłaganej sprawiedliwości dziejowej. Opis pogromu Dereszewiczów skreślony po latach przez dotkniętego tym ciosem rozbitka, nie mógł się jednak obejść bez kilku słów historycznego komentarza" (Przedmowa do: Antoni Kieniewicz, „Nad Prypecią dawno temu... Wspomnienia zamierzchłej przeszłości”, Ossolineum, Wrocław 1989, s. 9—10).

Właściwe dzieło krytyki historycznej zawarł Profesor w recenzjach publikowanych, ocenach prac doktorskich, habilitacyjnych, dorobku awansujących profesorów, recenzjach wydawniczych. Dzieło ogromne, zważywszy, że teksty niepublikowane powiększają zapewne co najmniej dwukrotnie liczbę zarejestrowanych pozycji, które ukazały się w druku. Moje uwagi poświęcę tekstom drukowanym.

Od roku 1934, daty pierwszej opublikowanej recenzji, ukazywały się systematycznie, rzecz jasna z przerwą w latach okupacji. Z pobieżnej statystyki wynika liczba średnio czterech rocznie. Bywały lata bardziej lub mniej obfite, ale nie zdarzył się rok bez recenzji<sup>2</sup>. Wszystkie one znaczą najlepiej ślad zainteresowań Profesora i są świadectwem ogromu jego pracy i wiedzy. Zdumiewający jest przy tym fakt, jak wyraźnie sprecyzowane od początku były te zainteresowania i jak niezmiennie pozostały. Wojna nie stanowiła w tym względzie żadnej cezury. Od pierwszych lat pracy naukowej koncentrował się na problematyce powstań w szeroko rozbudowanym kontekście stosunków społecznych i w równie szerokim tle historii porównawczej.

Co sprawiało, że recenzje Profesora wyróżniały się spośród innych, że były rozpoznawalne od pierwszych zdań, że tak wiele można się było z nich dowiedzieć i nauczyć? Odpowiedzieć na to jest łatwo: po prostu, w stopniu większym od innych spełniały warunki recenzji doskonałych. Trudniej to wytlumaczyć. Spróbuję.

Pisał Profesor recenzje bardzo różne: najbardziej typowe, w których trzeba rozprawić się z książką, pojawiającą się nagle na drodze własnych dociekań; lżejsze w tonie, chociaż naprawdę trudniejsze — recenzje wywołane potrzebą chwili — filmów, sztuk czy aktualnej dyskusji; wreszcie recenzje dzieł największego kalibru, syntez, dużych wydawnictw źródłowych, czy dzieła pomnikowego, jakim jest Polski Słownik

<sup>2</sup> Recenzował książki wydane (oprócz polskiego) w sześciu językach: francuskim, rosyjskim, angielskim, niemieckim, włoskim i hiszpańskim.

Biograficzny. Stosował różne formy wypowiedzi: czasem była to forma dyskusyjna czasem komplementarny wykład, często drobiazgową korektą błędów, którą — na dobrą sprawę — należałoby współoprawić z tekstem autorskim; trafiały się i polemiki, utrzymane w trochę lżejszym tonie, z przymrużeniem oka ale i z uznaniem dla ludzkiej pomysłowości (jak w przypadku recenzji z książki Konstantego Grzybowskiego o Galicji). Najrzadziej zdarzały się wypowiedzi kurtuazyjne, w których jednak także umiał zastosować prawdziwą miarę. Dość wyjątkowe w formie i tonie bywały recenzje z twórczości Henryka Wereszyckiego: pełne najwyższego szacunku dla wiedzy w dziedzinie, w której sam nie czuł się kompetentny (polityki międzynarodowej opartej na korespondencji dyplomatycznej) z elementami bardzo ostrej krytyki; uparcie zaznaczał jednak odmienną swoją punktu widzenia. Wiemy ze wspomnień córki profesora, Teresy, że recenzje publikowane były małym fragmentem intensywnej dyskusji, którą obaj ci historycy prowadzili drogą korespondencji.

Wydawałoby się, że w mnogości form wypowiedzi krytycznych Profesora nie da się wytropić jakiejś wspólnej wszystkim zasady postępowania. Taka zasada wywieść się jednak daje: jest nią spełniany przez Profesora, bez wyjątku i bez odstępstwa, wymóg bezinteresowności; posłuszeństwa pierwszemu przykazaniu krytyki, iż ma ona służyć — i tylko — doskonaleniu dzieła. Że — w intencji — ma być kierowana ku dziełu, nie przeciw autorowi.

Myszę, że wymóg ten, sprowadzający się do dyscypliny intelektualnej i moralnej, był przez Profesora spełniany odruchowo, że inaczej nie potrafiłby postępować. Tłumaczy się to i w sferze metodologii i w sferze psychologii. Metodologii — ponieważ wyniósł on ze studiów solidne przygotowanie warsztatowe (szkoła Adama Skałkowskiego) i — jako dobrze wytrenowany — nie umiał robić złych ruchów; w sferze psychologii — ponieważ naturalnym Jego odruchem wobec innych historyków, pracujących na tym samym obszarze badań, był odruch zachęty i sympatii. Bacznie obserwowałam reakcje Profesora na sukcesy innych — żadnych, najmniejszych nawet oznak zawiści. Płynęło to chyba nie tyle z łagodności usposobienia, bo i surowość sądów i złośliwość żartu nie były Mu obce, ale z faktu dysproporcji między nim a całym ludem historycznym pracującym dookoła niego. Dostrzegając sytuację wokół siebie na swoim poziomie, nie widział w niej żadnych punktów zagrożenia. W swojej dziedzinie królował niepodzielnie i zwyczajem rozsądnego monarchy troszczył się o każdego, kto chciałby pracować na niwie Jego królestwa. Porównanie to sprawdza się również w odniesieniu do postawy Profesora wobec Henryka Wereszyckiego: jego traktował jako władcę sąsiedniego królestwa.

Mam nadzieję, że nikt z „dziewiętnastowieczników” nie obrazi się za moje słowa. Niezależnie od tego, czy ktoś godził się czy nie z Jego punktem widzenia, musiał — jeśli miał zdrowy rozsądek — zdawać sobie sprawę z dystansu między Nim a „resztą świata” historyków tej specjalizacji.

Intencja pozytywnego działania na rzecz omawianego dzieła była u Profesora tak silna, że niekiedy duże partie recenzji zamieniały się w Jego własny wkład na ten temat, co sprawiało — między innymi — że Jego krytyka była tak pouczająca. Czasem jednak cierpiała na tym kompozycja wypowiedzi. Czytelnikowi niewtajemniczonemu trudno było rozpoznać niekiedy gdzie kończy się streszczenie, a zaczyna tekst autorski Profesora.

Spotykałam się z opinią, że jednak — wbrew temu co uważam — zdarzało się, iż Profesor potrafił być finezyjnie złośliwy. Umiał bowiem pisać recenzje sposobem, trudnym do objaśnienia, a niepodobnym do naśladowania, który można by nazwać pisaniem negatywnej oceny pozytywnym tekstem. W moim odczuciu była to bardziej chęć zaoszczędzenia przykrości, jeśli to możliwe; jeżeli autor zostawia recenzentowi jakieś pole manewru, jeśli nie stawia go przed ścianą, jaką bywa oczywisty błąd rzeczowy — wtedy trzeba zanegować wprost.

Tak czy owak — czy w złych czy w dobrych intencjach, zdarzały się Profesorowi takie właśnie recenzje i na ogół bywały istnym majstersztykiem. Zdarzały się najczęściej

w stosunku do zasłużonych, starszych autorów, którym się tym razem nie udało, albo do takich, których dorobek był na tyle obfity, że wzbudzał szacunek, ale tak dalece nie zachwycał Profesora, że nie mógł o nim pisać jednoznacznie. Okazywało się jednak, że i w ten sposób sprawiedliwość zostawała wymierzana.

Na czym to polegało? Z grubsza rzecz biorąc na dwóch zabiegach: pierwszy — to zastosowanie formy dyskursu z autorem, prowadzonego na oczach czytelników: zarzut — replika. W formułowaniu zarzutu, jak i w replice, recenzent często odwołuje się do słów samego autora, po czym w sposób spektakularny kasuje zarzuty repliką. Zarzut nie skasowany powiększa stronę negatywów.

Drugi zabieg polega na wyrażeniu obiekcji w wersji pozytywnej, na przykład nadziei, że wątpliwość zostanie rozwiązana, a niedostatek uzupełniony.

Spróbuję przytoczyć fragment jednej z takich recenzji, w której — w wyżej opisany sposób — następują po sobie zdania o ładunku ujemnym i dodatnim. Jest to recenzja z drugiego tomu „Dziejów pracy organicznej” Witolda Jakóbczyka (PH t. LI, 1960, z. 1, s. 215—218).

Po wyliczeniu tematów, z których Jakóbczyk w swej pracy zrezygnował (odwołując się tym samym do słów autora), Profesor zastanawia się co zostało. Ten fragment ma wyrażnie ładunek ujemny (-). Po tym następuje zdanie: „Dla siebie więc zarezerwował Jakóbczyk cztery zagadnienia: Towarzystwo Naukowej Pomocy, biblioteki ludowe, kółka rolnicze oraz towarzystwa przemysłowe i spółki zarobkowe. Są to też kwestie ważne, kluczowe odcinki poznańskiego frontu pracy organicznej — te na których obóz ograniczny odnosił największe sukcesy” (+). „Ale historia tych odcinkowych poczyną pozostaje zbiorem fragmentów i nie da się zrozumieć ani zwartościować w oderwaniu od ogólnego rozwoju gospodarczych i politycznych stosunków prowincji” (-). „W niedalekiej tedy przyszłości, pisze autor ( s. 6), będziemy mogli podjąć próbę syntezy dziejów Wielkopolski doby kapitalizmu. Cenna zapowiedź; nie wątpię też, że szkice zawarte w niniejszym tomie okażą się wartościowymi składnikami owej przyszłej syntezy” (+).

W dalszej części polemizuje i chwali, w sumie jednak czytelnik wie, że tym razem szansa została zmarnowana.

Innym sposobem „wydelikacenia” formy sprzeciwu jest wstrzymywanie się od postawienia formalnego zarzutu, zastąpienie go natomiast redaktorskim podkreśleniem. Profesor, przytaczając tekst autora, spiętrza zdania i słowa, które chciałby oprotestować, ale pozostawia je bez sformułowania protestu. Jeśli zdarzają się repliki na takie recenzje, okazuje się z nich, że autor sam poczuwa się do wytłumaczenia miejsc podkreślonych, chociaż zarzut nie został zwerbalizowany.

Dobre intencje Profesora wobec autorów widoczne są najlepiej w recenzjach z prac zawierających wiele błędów. Można wtedy admiringować cechę powściągliwości, która zatrzymuje jego pióro przed pokusą ostrzejszego nazwania cech umysłu i warsztatu autora; skupiał cały wysiłek na skrupulatnej korekcie błędów. Jeden taki przykład warto przytoczyć z recenzji książki Mariana Zychowskiego o Mierosławskim (PH t. LV, 1964, z. 2, s. 534—541):

„Dochodzimy tu do ostatniej, nieco zenującej sprawy, mianowicie do licznych potknięć i pomyłek, świadczących o braku orientacji w sprawach, luźniej związanych z tematem. Tak np. na s. 26 cytuje on wyciąg z francuskiego aktu chrztu Mierosławskiego ze wzmianką „né le janvier dernier” i wnosi stąd o zachodzącej tu pomyłce w dacie urodzenia. Tymczasem janvier dernier nie oznacza 31 stycznia, ale styczeń bieżącego roku... W związku z pobytym swego bohatera w Kaliskim Korpusie Kadetów dał autor wzmiankę o starożytności Kalisza — miasta o znamienym napisie pod herbem: *Sigillum majus civitatis Calisiensis primae foundationis*. Napis oczywiście dotyczy pieczęci, na której był wyrażony herb miasta i nic znamienego w nim nie ma. Pod rokiem 1840 (s. 115) Zychowski notuje u Mierosławskiego jakiś kryzys duchowy... powołując się na

list A. Bielowskiego, który pisze o jakimś Ludwiku. Informacja ta jednak odnosi się do Nabelaka, nie do Mierosławskiego, który żadnego kryzysu wtedy nie przechodził...”.

W ten sposób ciągnie się długo korekta Profesora. Inny recenzent nazwałby pewnie dosadniej to, co Profesor określił jako „brak orientacji w sprawach luźniej związanych z tematem”. W dodatku w konkluzji końcowej stwierdza: „Nie jest to pełna lista lapsusów. Obniżają one wartość książki, która niezależnie od swoich luk i braków pozostanie jednak długo jedyną tego kalibru monografią Mierosławskiego. Będzie też ona wykorzystywana przez dłuższy czas jako najbardziej p o r ę c z n e [podkr. moje — B.G.] źródło informacji o jednej z ważniejszych osobistości naszych dziejów porzobiorowych”.

Drugą cechą twórczości krytycznej Profesora była rzadko spotykana w tym stopniu precyzja wypowiedzi. Bardzo trudno wytłumaczyć na czym ona polegała. Może dlatego, że składało się na nią wiele umiejętności, tyjących się recepcji omawianego tekstu, dyscypliny logicznej, stylu, języka. Przyjrzyjmy się temu po kolei.

Profesor miał niesłychaną łatwość przyswajania nowego tekstu. Dla każdego nowego fragmentu wiedzy — jak w układaniu puzzli — znajdował odpowiednie miejsce w obrazie. Fakty uzyskiwały wówczas właściwą płaszczyznę porównań, zazębiały się o siebie, tworząc już na wstępnym etapie konstrukcji widoczne ciągi treściowe. Skojarzenia narzucały się same, błędy wyskakiwały jako elementy niedopasowane do całości.

W rozmowach o przeczytanej lekturze łatwość uzyskiwania przez Profesora jej panoramicznego obrazu, jednocześnie już przetworzonego wedle własnego porządku, bywała wręcz onieśmielająca, nabawiła kompleksów. Kiedy obserwowałam Go na seminarium, jak — słuchając referatu, kreślił wzdłuż kratek papieru figury geometryczne, prostopadłe i równoległe, schodkami, łącząc je później przekątnymi — nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że ma to ze sobą jakiś związek: ten odruch rąk, niby odczuwalne drgnienia, wywołane niewidzialną pracą maszyny przetwarzającej. Referat się recenzował. W podobny sposób, zapewne recenzowała się czytana książka. Po przeczytaniu pozostawało już tylko ubrać „wydruk” w odpowiednią szatę stylistyczną. Wydaje się, że owa umiejętność — czy talent — skracania drogi od przeczytania do przetworzenia, skracania tak wielkiego, że ze zwykłego procesu myślenia czyni zjawisko niezwykle, dające rezultat błyskawicznego, niemal jednoczesnego sprzęgnięcia, wyjaśnia tajemnicę precyzji Jego krytyki.

Ostatnie stadium było oprawą stylistyczną. Tutaj służyło Profesorowi wszystko: kultura słowa, odziedziczona — czy lepiej: nabyta — w domu rodzinnym, ogromny trening w pisaniu nie tylko tekstów naukowych (prowadził systematycznie rozległą korespondencję), wreszcie naturalna skłonność do prostoty wysławiania się i niechęć do ulegania modzie lingwistycznego nowatorstwa. Jego konserwatyzm językowy święcił największe triumfy właśnie w dziedzinie krytyki. Tu — bardziej może niż gdzie indziej — ceni się jasność słowa, jego znaną treść zakorzonioną w tradycji, kunszt budowy zdania, pojemnego treściowo, a jednocześnie łatwego do przyswojenia. I — ponad wszystko — ceni się bogactwo, wielobarwność języka.

Istotnie, zalety stylistyki Profesora zwielokrotniały się w tekstach krytycznych. Ileż tu było odcieni tonów. Ile niuansów w stopniowaniu wyrazów aprobaty lub dezaprobaty. Ile barwy w szczegółach, w których zwykle następowała ostateczna demaskacja błędu.

Styłem, posłusznym sobie umiał posługiwać się Profesor ostrożnie — jakby zdając sobie sprawę, że dysponuje ostrym, niebezpiecznym narzędziem. Ze swoją wiedzą i perfekcją we władaniu piórem mógł stać się postrachem autorów. Ale się nie stał. Stał się — odwrotnie — sojusznikiem wszystkich, którzy z dobrą wiarą podejmowali trud pracy badawczej nad przeszłością.

Oddając w ręce czytelników garść uwag o sztuce krytyki Stefana Kieniewicza mam głębokie przekonanie, że źle zostały spożytkowane strony, przydzielone mi przez Redakcję „Przeglądu Historycznego”. Znacznie lepiej byłoby zapełnić je tekstem Jego



autorstwa. Myślę, że należy postarać się o wydanie recenzji Profesora w pełnym brzmieniu lub w wyborze najcenniejszych. Jego krytyka, rozproszona po czasopismach, może ulec zapomnieniu, a przecież to ostatni co tak poloneza wodził.